Nr. 19. Lwów, dnia 17. czerwca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

MIŁOŚĆ OJCOWSKA.

Zima 1847 roku była niezwykle surową, ostry wiatr północny dął krzyżykowato, dachy domostw pokrywały gęste warstwy śniegu, a kanały uliczne gruba powłoka lodowa.

W pewien mroźny dzień styczniowy, około godziny dwunastej w południe, Robertin, stary urzędnik pocztowy, nie zdążywszy jeszcze usadowić się przed swoją szafką, poprzecinaną na kratki, w której w alfabetycznym porządku rozsegregowane były listy „poste-restante“, usłyszał lekkie uderzenie ręką w drzwi ciemnego korytarza, w którym zwykle wyczekiwali liczni interesanci.

Szybkiem i gwałtownem poruszeniem ręki Robertin otworzył furtkę i w tejże chwili ukazała się w jej czworokącie wielka podłużna głowa, okolona jasnym a raczej ryżym włosem.

Podczas kiedy Robertin ciekawie spoglądał na tę oryginalną twarz, przybysz zdążył wyprostować się tak, że już w całej okazałości można było podziwiać jego suchą, sztywną i w niezwykły strój przybraną figurę. Miał on na sobie szeroką kurtkę z plecionemi na piersiach a mocno już wyszarzanemi sznurami, oraz jasno szare nogawice, jakby przylepione do jego wychudłych i pokrzywionych nóg.

Stroju tego dopełniał stary pogięty fagot, zawieszony na kurcie pod lewem ramieniem.

Na sympatycznej zresztą twarzy, szczególnego interesanta malowała się bezmierna boleść, świadcząca, że ten człowiek ciężko boryka się z losem na burzliwym oceanie życia.

Pokora, jaka przebijała w jego dużych, głębokich i wyrazistych oczach, wzruszyła poniekąd nieczułego nawet pana Robertin, który tonem, bardziej miękkim niż zazwyczaj, zapytał przybysza:

— Czego pan tu chce?

— Bardzo przepraszam... — wyrzekł czystym akcentem ziemi alzackiej przybysz — jestem Cymerman i chciałbym się dowiedzieć...

— Pytasz pan pewne o list pod jego adresem.

— Tak jest, proszę pana.

— Zkąd więc?

— Ze Szwalbach...

Robertin wsunął głowę w otchłań swojej szafy, a po chwili wprawną ręką wydobył list w grubej kopercie z skreślonym na niej różnorodnym charakterem pisma następującym adresem:

„Panu
Cymerman,
artyście-muzykantowi,
znajdującemu się obecnie
w Paryżu.
Poste-restante“.

Ogółem sześć wierszy z których dwa ostatnie skreślone bardzo niewprawną ręką, nie mogły bynajmniej świadczyć o postępach adresującego w kierunku kaligraficznej doskonałości

Powyżej adresu, ołówkiem niebieskim nakreślona, figurowała cyfra 12, jako signum pocztowe, że ponieważ pakiet nie miał opłaconego stępla, przeto adresat przy odbiorze listu obowiązany był zwrócić poczcie całego franka i 20 centimów, jako karę za nieopłacenie porta.

Robertin podał list Cymermanowi, który wyczytawszy na nim tak pracowicie wystylizowany adres z wytężoną uwagą, co mu parę minut zajęło, zwrócił go następnie pocztmistrzowi.

— Jakto, czyżby to nie do pana? – zapytał ten ostatni ze zdziwieniem.

— Nie, proszę pana, ten list nie dla mnie – brzmiała krótka odpowiedź.

— No to innego listu na pańskie imię nie posiadam.

— To ja tu może przyjdę jakim innym razem, rzekł pokornie tonem prośby człowiek z fagotem i odszedł wolno krokiem zmęczonym.

Robert już był zapomniał o oryginalnym „artyście-muzykancie“, gdy po upływie niespełna dwóch godzin, ujrzał go znowu przed sobą.

W ciągu tego czasu istotnie nadszedł list dla Cymermana, lecz z takim samym, co i poprzednio, adresem.

Więc Robertin, przypomniawszy sobie natychmiast adresata, sięgnął po list do skrzynki i wręczył go Cymermanowi.

Jako szczegół charakterystyczny zwracało uwagę to, że i ta druga koperta skreślona była różnorakim charakterem pisma i temi samemi niewprawnemi literami.

Z Cymermanem i z listem powtórzyła się historja poprzednia. Obejrzał on kopertę ze wszystkich stron, a wysylabizowawszy tak dziwnie skombinowany adres litera po literze, zwrócił go urzędnikowi, poczem z właściwą sobie pokorą skłonił się i wyszedł.

Ledwie upłynęły dwa tygodnie, Cymerman zjawia się po raz trzeci w urzędzie pocztowym, ale Robertin, zwąchawszy już, jak to mówią, pismo nosem, postanowił dojść do supła intrygi, jaką niewątpliwie odgrywał Cymerman.

Nie był bynajmniej stary Robertin człowiekiem złym, ale okrutnie nie lubił, ażeby sobie z niego żartowano, a bał się trochę tego ze strony niezwykłego interesanta. Wyrozumiał on sobie zresztą po prostu, że jest przedmiotem jakiegoś „figla“, urządzanego mu złośliwie przez „człowieka z fagotem“.

Otóż Robertin postanowił sobie, że przy pierwszej sposobności, bądź co bądź, dojdzie całej prawdy i rzecz „wymaca“ sumiennie.

Poszukiwana okazja nadarzyła się właśnie w niedzielę. Cymerman zjawił się w urzędzie pocztowym zaraz po 8 z rana, a znalazłszy się w ciemnym przedsionku, zapukał z lekka w drzwi, prowadzące do oddziału Robertina. Stary urzędnik był już na czatach.

— Kto tam? — zapytał tonem ostrym i surowym.

Człowiek z fagotem, wychyliwszy nieśmiało z za drzwi głowę, uśmiechnął się dobrotliwie z lekka i odrzekł z pokorą:

— To ja — panie naczelniku — przyszedłem właśnie...

— Nie ma tu nic dla pana!

— Nic?!... Przepraszam pana bardzo... Może pan sobie mnie nie przypomina... Ja się nazywam Cymerman...

— Wiem o tem dobrze.

— Nie ma nic?... Nic?!... To być nie może!

— Jest tu jakiś list ze Szwalbach — ciągnął tonem spokojnym Robertin — ale ponieważ pan już poprzednio odmawiałeś przyjmowania listów z tym adresem, więc nie widzę racji pokazywania panu ostatniej przesyłki..

Stary Alzatczyk, usłyszawszy te słowa, zbielał jak kreda. Bolesny kurcz skrzywił mu wargi, a głębokie jego, poczciwe oczy oszkliła łza.

Robertin użył całego wysiłku woli, żeby nie okazać choć szczypty litości wobec człowieka, który mu się wydawał podejrzanym.

— Więc pan mi tego listu nie pokaże?... błagalnym głosem wyjąkał Cymerman.

— A cóż panu z tego przyjdzie?

— Chciałbym się tylko popatrzeć na adres...

— Dobryś pan sobie! Ja tu nie jestem dla pańskich dziwacznych zachcianek. Zresztą, przyjdź pan kiedyindziej...

Robertin przy tych słowach zamykał już drzwi za Cymermanem, ale nagle zatrzymał się przerażony. .

Z głębi korytarzyka dało się słyszeć rozdzierające duszę łkanie.. Biedny grajek, chwyciwszy się oburącz za głowę, płakał gorżkiemi łzami, tuląc się głęboko w kąt...

– Co się panu stało?! – zawołał, a raczej krzyknął Robertin, zbliżając się do szlochającego — co panu jest, co to wszystko ma znaczyć?!

Cymerman podniósł zwolna głowę i przez

łzy, ściekające po jego zapadłych policzkach starał się uśmiechnąć...

— Wybacz mi pan — bełkotał — ale to już nad moje siły. . Ja już dłużej wytrzymać nie mogę i chyba najlepiej uczynię, jeżeli powiem panu całą prawdę. Pochodzę ze Szwalbach, ale musiałem rzucić moją rodzinną wioskę, bo inaczej moja Gretchen i ja umarlibyśmy z głodu. Wie pan, moja Gretchen była bardzo dobrą i uczciwą dziewczyną, a kiedyśmy się pobrali, ona miała 17, a ja 22 lata. Od tego czasu upłynęło już dziewięć lat. Długo żyliśmy z sobą w najzupełniejszem szczęściu. Nie byliśmy nigdy bogaci, ale ja, nie chwaląc się, gram niezgorzej na fagocie, więc też zapraszano mnie prawie co święta to tu, to tam. I jakoś zawsze zarabiałem tyle, że starczyło na utrzymanie mojej rodziny, która powiększała się stale, z roku na rok... Pan Bóg był łaskaw. Mój Boże, gdyby pan znał nasze dzieci! Prawdziwe aniołki! Gretchen kocha więcej dziewczynki, ale co do mnie... Boże mój, a może ja pana nudzę! Jeżeli tak, to już więcej nie powiem ani słówka... a zresztą już kończę... W takim otóż stanie żyć długo było nie sposób, trzeba było karmić sześć żołądków, a to, com zarabiał, zaczynało już nie starczać.

Niech pan to zrozumie, że moja Gretchen zaprzestała w końcu prawie zupełnie jadać, a tak zawsze zręcznie manewrowała, bym nie zauważył, że się głodzi. Kiedym się o tem jednak dowiedział, przepłakałem całą noc, a na drugi dzień powziąłem stanowcze postanowienie. Raz kozie śmierć! Zresztą, nie bałem się podróży do Paryża, ale straszyła mnie myśl, że będę zmuszony opuścić Szwalbach. Pan to chyba rozumie... Nie prawdaż?... Nie widzieć już mojej Gretchen, nie pieścić i nie całować rozkosznych dzieciaków!... To było dla mnie strasznie ciężkie! A wreszcie, po rozłączeniu się, w jaki sposób otrzymywać od nich wiadomość, dowiadywać się, czy żyją i jak się miewają? Okazje są przecież tak rzadkie, a porto pocztowe takie kosztowne!.. I oto po długiej naradzie z Gretchen obmyśliliśmy cały plan. Pan pewnie zauważył, że adres na przesyłanych dla mnie kopertach składa się z sześciu wierszy, z których każdy skreślony jest innym charakterem. Oto w napisaniu tego adresu przyjmuje udział cała moja rodzina, zacząwszy od kochanej żony, a skończywszy na ostatniem maleństwie, nie władającem jeszcze nawet samo dzielnie swoją drobną rączką.

W ten sposób, mój szlachetny panie, wystarczy mi tylko przeczytać adres, żeby się dowiedzieć, że moja ukochana rodzina jest w dobrem zdrowiu i myśli o mnie .. Taka jedna koperta mówi mi o wszystkiem.

A teraz, gdym już wyznał wszystko, daruj mi pan to moje przestępstwo i nie chciej gubić na przyszłość biednego ojca, którego jedynem życiem, jedynym światem jest Gretchen i dzieci...

Wysłuchawszy do ostatniego słowa tę smutną opowieść fagociarza ze Szwalbach, Robertin postąpił tak, jakby powinien każdy na jego miejscu.

Pokazał Cymermanowi natychmiast kopertę z tak drogim i miłym dlań adresem...

I tą drogą nieszczęsny ten człowiek w ciągu całej owej surowej zimy, nie straciwszy ani jednego sou, mógł otrzymywać wiadomości od licznej swej rodziny...

. . . .

— Byłem głęboko wzruszony tem niezwykłem wyznaniem Cymermana — wyznał mi stary Robertin, kończąc opowiadanie — ale jeszcze bardziej wzruszyło mnie to, czego byłem świadkiem zaraz następnego dnia.

— I cóż to było?

— Nigdybyś pan nie odgadł. Była godzina ósma rano. Wybierałem się już z domu do biura poczty, gdy w tem na dziedzińcu...

— Co?

— Usłyszałem... zgadnij pan... Piękne preludjum hymnu narodowego, odegrane, wyspiewane niemal na fagocie...

— Przez Cymermana...

— Nie inaczej. Ten biedak chciał się koniecznie odwdzięczyć, a sądził, że mi zrobi największą przyjemność wykonaniem pod mojemi oknami serenady..

J. Chwał.

TAJEMNICZA ZBRODNIA.

ROMANS

Eugeniusza Chavette

(Dokończenie)

ROZDZIAŁ XVII

Tak, Cezar i Krapiszetka trafnie odgadli.

Obłudny rozpustnik poniósł śmierć z ręki panny Cambart. Kiedy młodzieniec i jego towarzyszka zobaczyli oknem w oberży Gabrjelę, wychodzącą z domu, zostawiła tam ona trupa Barantel tym razem nie miał do czynienia z ofiarą tak łagodną i lękliwą, jak pani Dargon Na swe nieszczęście, zaczepił istotę energiczną i odważną, która, stawszy się pastwą ohydnej zasadzki, zgotowanej przez tego człowieka, podniosła się straszna, ażeby ukarać tego, który chciał z niej uczynić dla siebie zabawkę Oto jakie zdarzenia poprzedziły tę tragiczną scenę.

Czytelnik zapewne przypomina sobie rozmowę, między córką i ojcem, w której Cambart zaznaczył Gabrjeli, że z pośród dwóch konkurentów, wybiera on Desormeauxa, bo Barantela tylko dlatego przyciągnął, ażeby go oskubać z milionów Gabrjela, dumna i chciwa bogactw, miała także apetyt na majątek Leona i również chciała posiąść te miliony, przypuszczała zaś, że uda się jej to z łatwością, mniemając, że Barantel jest w niej szalenie zakochany.

Przy każdej wizycie, jaką jej złożył właściciel domu, oczy młodzieńca gorzały takim ogniem, że Gabrjela mówiła do siebie:

— On szaleje za mną. Potrafię z niego zrobić niewolnika..

Barantel rzeczywiście szalał za nią, ale córka Cambarta myliła się, przypuszczając, że zechce się z miłości ożenić z nią Był to z jego strony tylko rozwiązły kaprys, szukający zaspokojenia przy pomocy nikczemnej zdrady Sposób pożądany Barantel znalazł, odgadłszy przewrotną naturę nauczycielki Przy ostatnich odwiedzinach, kiedy panna Baldoin, według zwyczaju, odprowadzała go do przedpokoju Leon szepnął do niej:

— Kochana pani, racz mnie jutro odwiedzić, a nie mówiąc nic nikomu

Nauczycielka przyszła punktualnie na schadzkę, a wtedy Barantel zażądał od niej wyraźnie, ażeby mu oddała młodą dziewczynę. Panna Baldoin opierała się, dopóki Leon, targując się, nie powiększył sumy tak dalece, iż jej się wydawała bardzo pokaźną.

Wtedy wyrzekła:

— Rzecz tem będzie łatwiejsza . iż Gabrjela bardzo lubiła Desormeauxa a co do pana, to tylko pańskie dukaty, i zdaje się jej, że pan jest jej podnóżkiem Ażeby zabrać miliony pańskie, zdolna jest do wszystkiego.. Więc wyznacz tylko miejsce, dokąd mam ją przyprowadzić, a jestem pewna, że ją tam zaprowadzę

Obeznana z różnemi wskazówkami dokładnie, Baldoin wróciła do panny Cambart, która mocno była zirytowana po rozmowie z ojcem i postanowiła wyrządzić mu zabawną sztuczkę.

Wybadawszy Gabrjelę, która przed nią nie miała tajemnic, nauczycielka powiedziała jej:

— Obawiać się można, że ojciec twój, chcąc dla siebie zachować Barantela, sprzeciwi się temu, abyś się z nim widywała.. Nie widzę więc teraz sposobu, jakim mogłabyś opanować tego młodzieńca.. Byłby sposób, abyście się znajdowali razem, ale nie śmiem go ci proponować, bo, gdybyś na nieszczęście nie wymogła na panu Barantelu małżeństwa byłabyś tak skompromitowaną, iż nie mogłabyś już znaleźć dla siebie męża

— Ja zdołam wszystko pozyskać od tego głupca, który mnie ubóstwia - odparła dumnie Gabrjela, jak kobieta pewna swej piękności

— To ryzykujmy. Ja w spadku po wuju, rybaku, w Bougival posiadam dworek, gdzie ofiarowuję wam schronienie... Zrobimy tak, że pan Leon zawiadomiony będzie o twoim tam pobycie i szczęśliwy będzie z możności odwiedzenia cię tam Ty go rozkochasz jeszcze bardziej i ożeni się z pewnością.

Gabrjela się zgodziła.

- Jedźmy tam — rzekła

Baldoin nie sprzeciwiła się temu pospiechowi.

Ale gdy się znalazły w powozie, po kwadransie jazdy, zawołała:

- Ach! co za roztargnienie, pojechałyśmy, nie zabrawszy ani ubrania ani bielizny. Ale nic nie szkodzi.. Ojciec twój nieprędko wróci do domu.. Skoro więc tylko umieszczę cię w dworku, dasz mi klucze od swych szaf, ja wrócę do domu i zabiorę potrzebne rzeczy.

O ile jednak nauczycielka nie pamiętała o rzeczach, o tyle miała na myśli jedzenie, gdyż po dro-

dze kazała się dorożce zatrzymywać przed kilku sklepami, mówiąc:

— Kiedy przyjedziemy do Bougival, nic nie można będzie pewno kupić, a trzeba pomyśleć o kolacji

Noc już zapadła, gdy obie kobiety wysiadły z dorożki, której Baldoin kazała przystanąć przed wioską, dając polecenie dorożkarzowi, ażeby na nią zaczekał.

Dobrze objaśniona przez Leona, umiała z łatwością rozgospodarować się w domu i rozłożyła na stole zakupione prowizje

— Wiesz co — odezwała się zamiast czas tracić na jedzenie tutaj, wskoczę prędko do dorożki i wrócę do Paryża po nasze rzeczy.

— Dobrze, jedź, a ja czekam z kolacją na ciebie — odpowiedziała panna Cambart

— Ależ nie, nie czekaj .. być może, wrócę bardzo późno... kto wie, co tam w domu zaszło, po naszym wyjeździe? O! wezmę tylko tę bułkę i kawałek wędliny i zjem w dorożce, a potem, jak wrócę, będę jadła

I wziąwszy klucze, które jej oddała Gabrjela do szaf i komody, guwernantka odeszła.

W godzinę później pannie Cambart jeść się zachciało Zjadła szybko kolację i postanowiła czekać na powrót Baldoin.

Ale zaledwie upłynęło dziesięć minut, gdy uczuła się opanowaną jakąś dziwną ociężałością.

Chciała się otrząsnąć z tego znużenia dziwnego, ale sen ją tak zmożył, iż Gabrjela, czując to wzmagające się odrętwienie raptowne, któremu nie mogła się oprzeć, zrozumiała, że musiała się napić jakiegoś gwałtownie działającego narkotyku

— Baldoin wciągnęła mnie w zasadzkę W tej chwili ona tam, u ojca, okrada mnie z biżuterji! — pomyślała, osuwając się na łóżko, do którego z trudnością się zbliżyła.

Gabrjela odgadła tylko część prawdy. Całą prawdę poznała, gdy po przebudzeniu ujrzała w pokoju Barantela, który odezwał się do niej drwiąco:

— Nie wołaj Baldoin, moja piękna, bo ona w tej chwili wędruje sobie zapewne z dwudziestoma tysiącami franków, które kazała sobie zapłacić za gościnność, jaką miałem przyjemność ofiarować pani w tym domku, który należy do mnie

Panna Cambart nie uroniła ani jednej łzy, nie skarżyła się wcale ..

Wlepiła w Leona duże oczy czarne, błyszczące złowrogiem postanowieniem i zapytała głosem powolnym:

— Kiedy mnie pan zaślubisz?

— Po co? — zaśmiał się Barantel.

Gabrjela nie zmieszała się na tę znieważającą odpowiedź

— O! moja droga — podchwycił Leon, zachęcony milczeniem — jesteś zbyt rozsądną, ażeby się nie pogodzić z położeniem .. Ojciec twój nie ma grosza, i wkrótce wywinie koziołka, on cię pozostawi w nędzy. . Licz więc na wspaniałomyślnego kochanka i nie troszcz się wcale o męża ..

Przy tych słowach żartobliwych, skierował się ku drzwiom, a kiedy był już na progu, obrócił się znowu..

— Do Paryża powołuje mnie interes pilny; ale wrócę za kilka godzin, przekonany zupełnie, że po namyśle ocenisz dobrą stronę życia, które ci proponuję.

Wrócisz pan? — wyrzekła Gabrjela.

Barantel sądził, że w tem zapytaniu znać obawę kobiety, która, lękając się opuszczenia, gotowa jest uledz

Odrzekł też tonem protekcjonalnym:

Tak, moja droga przyjaciółko, możesz liczyć na mnie .. za trzy godziny będę z powrotem

I odszedł, nie podejrzewając, jaki wściekły gniew krył się pod tym spokojem, który on brał za rezygnację U tej dziewczyny dumnej, gdy zobaczyła, że stała się igraszką tego, którego chciała uczynić swym niewolnikiem; powstała żądza zemsty, niczem niepowściągniona Po odejściu Leona ubrała się i opuściła dworek

Ku wielkiemu zdziwieniu sługi zjawiła się w mieszkaniu ojcowskiem Tu udała się wprost do pokoju giełdzisty i zdjęła wiszące na ścianie dwa pistolety nabite. Potem wróciła do Bougival, a po wejściu do domku Barantela, położyła pistolety na komodzie, przykryła mantylką i czekała na powrót Leona

O godzinie obiecanej przybył.

— I cóż? — spytał za chwilę — namyśliłaś się? .. Masz jeszcze do mnie żal, moja gołąbko?

To mówiąc, usiadł na krześle przy stole, obok kominka

— Tak, namyśliłam się, panie Barantel — odpowiedziała Gabrjela — powiedziałam sobie, że nie chcę być pańską kochanką i że tylko małżeństwo może naprawić zbrodnię, jakiej się dopuściłeś

— I ty to nazywasz zbrodnią? E! widzę, że tylko jesteś upartą.

Spojrzał na nią wzrokiem stanowczym i wyrzekł z naciskiem:

A ja cię nie za-ślu-bię...

— Więc chcesz mnie pan zmusić, bym twoją była kochanką?

— O! zmuszać cię nie będę... Wolno ci ztąd odejść. Ja nie mniej zachowam miłe wspomnienie chwil, przepędzonych przy tobie.

Pomimo gniewu, szarpiącego jej serce, Gabrjela chciała pozostać niewzruszoną.

— Więc pan sobie tak mało cenisz mój honor? — podchwyciła.

Leon miał dziwną ochotę popisywania się bezczelnością, bo odparł drwiąco:

Mało cenię? bynajmniej... Wszak mnie to kosztowało dwadzieścia tysięcy franków, danych Baldoin, i powtarzam ci, że wszelkie dobrodziejstwa otrzyma ta, która zostanie moją kochanką.

— I sądzisz pan, że, dzięki tym dobrodziejstwom, przestaniesz już być względem mnie winnym? przestaniesz być winowajcą?

— Winowajcą! winowajcą! — powtórzył zniecierpliwiony — chcesz mnie koniecznie traktować, jak te dzieci, którym się mówi: Przyznaj się, żeś zbroił a nic ci nie będzie... No, więc dobrze, jestem winowajcą, arcy-winowajcą. Będę nawet krzyczał.. Co, jesteś zadowolona? Może ci mam jeszcze to napisać?... Dobrze.

I z drwiącym śmiechem wziął z kominka, na którym ogień zagasł, kawałek węgla i na białej desce stołu wypisał dużemi literami, sylabizując głosem ironicznym:

— Je stem wiel kim...

Gdy to pisał Gabrjela, stojąca po za nim, po woli wyciągnęła rękę ku mantyli, przykrywającej pistolety.

— W i-n-o-w a j-c ą Jestem wielkim winowajcą, dodał Leon, kreśląc ostatnią literę.

Poczem z nowym śmiechem zapytał:

— No, wystarcza ci to, moja piękna? Czy trzeba ci jeszcze, ażebym to podpisał?.. No... masz!..

I podpisał dwucalowemi literami.

Poczem ucieszony tym żartem zawołał:

— A teraz, kiedym się sam uznał za winnego, powiedz mi tak lub nie; czy chcesz być moją kochanką?

Na to zapytanie, panna Cambart odpowiedziała nowem pytaniem:

— Tak lub nie, czy chcesz mnie zaślubić?

— Nie, sto razy n..

Nie dokończył, bo Gabrjela, przytknąwszy mu lufę pistoletu do skroni, roztrzaskała czaszkę.

Przez kilka minut ta, która pomściła swój honor, pozostała drżąca przed trupem, który zwalił się u jej nóg, poczem zwolna wyszeptała:

— Sam sobie winien!

Zarzuciła na siebie mantylę i wyszła z pokoju, trzymając jeszcze w ręku pistolet, którym zabiła Barantela.

Na progu domku zatrzymała się.

— Trzeba, ażeby przypuszczano samobójstwo! — rzekła do siebie.

I wróciła się do pokoju Gabrjela zbliżyła się do trupa i obok ręki nieboszczyka, położyła na podłodze broń wystrzeloną; poczem zamknęła okiennice od ogrodu i wyszła. Wtedy to zobaczył ją Desormeaux i Krapiszetka, przyglądając się domkowi Leona, oknem z restauracji. Panna Cambart ani mogła przypuszczać, że ma dwóch świadków swej bytności w domku, który stał się teraz grobowcem. W chwili gdy wróciła do domu ojcowskiego, policja, poszukując Barantela, dostała się do domku w Bougival.

Znaleziono trupa obok stołu, na którym wypisane było zeznanie:

Jestem wielkim winowajcą.

Był to dowód samobójstwa tego, który sam podpisał to wyznanie. Policja wobec tego nie zarządziła śledztwa.

EPILOG.

Z resztkami mienia Cambarta, które jeszcze wynosiły przeszło sto tysięcy franków, Gabrjela rzuciła się śmiało w pogoń za tem bogactwem, które najprzód chciała zyskać za pomocą małżeństwa. Pieniądze te wydawała na stroje, powozy i zwróciła powszechną uwagę na bruku paryskim. Dziś wzbogaciła się kosztem tych, których już zrujnowała... Zaledwie też pamięta o morderstwie Barantela, sądzi bowiem, że nikt o niem nie wie.

Desormeaux i Krapiszetka zachowali milczenie, a Baldoin, wyjechawszy do Belgii, nie miała ochoty się wygadać.

Wszakże w kilka dni po zbrodni, o której się dowiedziała z gazet, donoszących o samobójstwie, guwernantka, odgadłszy całą prawdę, napisała do swej uczennicy krótki liścik, prawdziwy wzór szantażu: „Więc zabiliśmy Barantela!!! Takem się uśmiała, że ażem się rozchorowała. Przyślij mi dwanaście tysięcy franków na kurację“. Gabrjela uczyniła to z pośpiechem takim, iż Baldoin, zachęcona, w ciągu jeszcze kilku lat miała napady wesołości, po których kuracja kosztowała sporo pieniędzy jej uczennicę, aż do dnia, kiedy zapalenie płuc wyleczyło zacną nauczycielkę z tego tak uporczywie powracającego śmiechu.

Wróćmy do innych osób.

Starania około pogrzebu Cambarta, którego był przyjacielem. zatrzymały Desormeauxa, który dopiero w dwadzieścia cztery godzin później mógł pobiedz do Krapiszetki, gdzie spodziewał się zastać panią Dargon, po wyjściu z więzienia.

— O! toś ty nie pojechał do Włoch! — zawołała loretka, zobaczywszy go.

— Gdzie jest Lucyla? — zapytał młodzieniec, nie odpowiadając, na ten wykrzyknik.

— A! ja myślałam, że ty już jesteś w drodze do Włoch! — nalegała wesoło Piszetka.

— To ci się zapewne musiało śnić, że ja mam odbyć tę podróż...

— Bardzo być może... Ha! to napiszę czemprędzej do pani Dargon, ażeby wróciła, bo to ja namówiłam ją, ażeby pojechała do Genewy.

— Nie, nie pisz, Piszetko, ja jadę, dziś jeszcze jadę — odrzekł młodzieniec, a twarz mu rozjaśniła się nagłą radością.

* * *

Tegoż wieczora Desormeaux odjechał.

Słyszeliśmy, że w kilka miesięcy potem, w Rzymie, wziął ślub z Lucylą.

* * *

Najzabawniejszem jest to, że Krapiszetka, na żarty wymyśliwszy historję o wyjściu za mąż za kupca korzennego, rzeczywiście znalazła takiego męża, i dziś jest arcycnotliwą małżonką.

Bylibyśmy już skończyli, ale się nam przypomniał jeden fakt jeszcze. W dwa tygodnie po liście, przyniesionym przez żandarma, pani Ignacowa powróciła do mieszkania małżeńskiego. A gdy małżonek unosił się nad tem, jak dobrze wygląda, wierna Eudoksja odpowiedziała nieśmiało:

— Tak, wieś mi zrobiła dobrze, lecz doktor powiedział mi, ażebym co rok wyjeżdżała na wieś koniecznie na miesiąc.

— Na miesiąc! to za mało... ja chcę, ażebyś była sześć tygodni! — oznajmił tyran tonem stanowczym człowieka, który potrafi nakazać, ażeby uszanowano wolę jego niezłomną.

Z GŁĘBI SYBIRSKIEJ.

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VI.

Przybywszy do Czyty, na widok domu swego stanęła Sara, nie mogąc go zrazu poznać. Dranice z dachu, nadgniłe, poczerniałe, sterczały tu i ówdzie, na innej stronie całej nawet części dachu nie było; zamiast zaś drzwi i okien zostały tylko po nich próżne miejsca. Żali tu był napad jaki?

W wnętrzu domu znów ani stołu, ani ławki nie widziała — okropna zewsząd wiała pustka. Kobieta stanęła na środku swojej chaty — w osłupieniu.

Potem podniosła lament. I co ona dziś pocznie?

Nareszcie porwawszy się pobiegła do pobliskich sąsiadów, współwyznawców swoich. Tam się dowiedziała, że po ich obojga wywiezieniu z Czyty wkrótce przybył urzędnik gminny i opieczętował dom, powiedziawszy, iż odtąd zostaje pod opieką władzy, a nikt inny nie ma do niego prawa; odpędził zatem tych, którym Nuchim zostawił opiekę nad swojem mieniem. Następnie, gdy nikt z nich nie wrócił ze śledztwa, ani gospodarz, ani jego żona, kiedy już zostali wyrokiem skazani, była tu licytacja na ruchomości, których połowę rozkradli przedtem urzędnicy gminni, to rządowi. Mawiano, iż to na koszta, przeróżne koszta, i na żywienie przestępców w czasie śledztwa. A po licytacji i rozdrapaniu przez czynowników — resztę rozkradły Burjaty i różny lud „russki".

Kobieta słuchała nie mówiąc ani słowa — była w osłupieniu. Potem siadła u siebie na progu, zakrywszy twarz — i oddała się myślom posępnym.

Współwyznawcy, widząc teraz opuszczoną kobietę, której wszystko rozdrapano, kobietę bez opieki męża, przynieśli jej nieco pożywienia. Ona spojrzała na to nie chcąc się nawet dziś posilić.

Potem westchnęła, szepnąwszy boleśnie:

— Nie pomoże, żyć trzeba, żyć dla niego, bo kto go wtedy odnajdzie?

I wzięła do ust nieco strawy, szepnąwszy:

– Dzięki i za to Bogu wielkiemu, że jeszcze ludzie mają litość nad opuszczoną.

Postanowiła dzisiaj wytrwać, o ile zmoże. Współwyznawcy, widząc, że nie można nieszczęśliwej tak zostawić, uradzili między sobą, że trzeba dać jej nieco zarobku, ażeby żyć mogła, gdy nic nie ma w swojej chacie. Będą jej zatem dawali pierze skubać, starą bieliznę przynosili do naprawiania, ażeby przecież co zarobiła.

Ale, co do chłopca — to jej w tem nie wiele powiedzieć mogą. Tyle tylko wiedzą, że on będzie teraz może w Werchnoudyńsku, mieście powiatowem — a może i dalej, jak i dzieci innych, które również zabrano. A kto wie, może go i dalej powiedli? Chodzili za swoimi jedni i drudzy, lecz nikogo nie wpuszczono. Nikt potem swoich nie widział — daleko ich wywieziono. Ha! może on jako jedynak inny będzie miał los, bo to syn matki, która sama jedna pozostała w pustej chacie... a może i wypłacze, iż ją do niego puszczą?

— Jak to? — myślała sobie nieszczęśliwa. — Po czterech latach strasznej trwogi, po czterech latach okropnego oczekiwania ona miałaby jego już nie widzieć? On ją dzień w dzień oczekuje. Ach! może nawet myśli, iż o nim zapomniała własna matka? I onaby go już opuściła? Nie, matka dziś wszystko uczyni, ażeby się do niego dostać. Ależ gdzie go dziś szukać? Jak tu się wybrać? Mówią, że on będzie w Werchnoudyńsku. Jakby tam się dostać?... Inni znowu wskazują na Irkuck. Boże! toć bo tak być ma daleko? I którędy tam droga? A jak ona tam zajdzie? Ludzie mówią, że to daleko, okropnie daleko, kilkaset wiorst drogi, dni kilkunastu potrzeba, aby tam dojechać, a ona może pieszo tylko się wybrać. I z kim tam pójdzie?

Takie ją trapiły myśli. Długo szukała, żeby jej kto pomógł w tej ciężkiej chwili. Lecz każdy z jej współwyznawców swoim tylko zajęty, oni przecież wszyscy handlarze i przekupnie? Dzień każdy, godzina każda, jest ich własnością, a tego marnować nie mogą. Zasobniejsi znów na sybirskiej ziemi nie nauczyli się wcale miłości bliźniego... Solidarność większa, plemienna, została tam, skąd przybyli, na tutejszej wcale nie rozrosła się ziemi: tutaj każdy myśli o sobie.

Kobieta mimo to pracowała, jak mogła, skubiąc pierze, szyjąc, jeśli dano, a jeśli nie było, nie gardziła i naprawianiem starych szmat. Tak składała na drogę, odejmując od ust sobie. Tygodnie, miesiące całe, wysilała się, jak mogła, z żelazną wytrwałością, ona, taka nikła, mała.

Nareszcie znalazł się między wygnańcami dawny żołnierz z czasów jeszcze Księstwa warszawskiego, dziś dziad. Ten niegdyś jako jeniec moskiewski poszedł na Sybir. Zanim wzięty był do wojska, miał być przedtem kowalem, ale w wojsku wszedł w inny świat. Jako deportowany, a potem posieleniec, żył na Sybirze długie lata z pracy, biedował, i postarzał się, a kiedy nie mógł zarabiać, żył z litości innych. Lecz pewien miał zawsze pociąg, a nawet słabość do przygód i wędrówki. Obchodził też nieraz dalekie okolice sybirskie, włócząc się po różnych stronach, tam i nazad, jakby wędrówka podobna była życia jego potrzebą. Znali też go z tego.

Ten zobaczywszy kobietę, która chciałaby iść do Werchnoudyńska, a nie wiedziała jak, rad był ze sposobności, ofiarował się jej przeto sam za przewodnika. Pójdą zatem oboje. Do tego był on serca litościwego i uczynny, gdy szło o pomoc bliźniemu. Werchnoudyńsk? On się Werchnoudyńska nie lęka. A choćby nawet i Irkuck?...

Kobieta była teraz uradowana, jakby jej lat ubyło. Ona też nie wątpiła, iż zabiegi jej zostaną teraz uwieńczone skutkiem.

Błogosławiła starca, całowała go po rękach, nie mogąc wysłowić swej wdzięczności.

I tak wybrali się oboje w daleką drogę.

VII.

Wyszedłszy z Czyty w zachodnim kierunku, ujrzeli się na obszernej dolinie zasłanej zielonością. Tu owiało ich świeższe, ostrzejsze, powietrze, z dalszych okolic od gór nachodzące. Ku północy ciągnęły się góry płaskie, nagie, to lśniące miejscami zielonością, ku południowi zaś rozciągała się dolina Ingody, wielka, daleka, która przechodziła nareszcie w masę jakąś czarną, jak noc.

Stary był wesół, kobieta nawet szła spiesznie pełna ochoty, jakby jej sił przybyło: ona już syna swego w myślach widziała.

Wkrótce zaczęła się droga nieco podnosić, a wtedy obie doliny, północna rzeki Czyty i południowa Ingody, stawały się coraz wyraźniejszemi; im wyżej zaś droga się wznosiła, tem głębszą stawała się kotlina Ingody, góry z obu jej stron coraz okazalsze i bardziej malownicze przybierały kształty, a czarna masa lasów olbrzymiała, chwytając za oczy siłą ciemnego kolorytu.

Kobieta pozierając po jednej to drugiej stronie,

miała niejaką trwogę, że takie masy ogromne, ciemne, jak noc, przedzielają ją od jej dziecka — lecz pojrzawszy na towarzysza, wnet nabierała odwagi.

Już się pierwsza wieś pokazała, na zboczach niewysokiego pasma. Wychylali się tu i owdzie moskiewscy chłopi osiedleni; można było nawet poznać przymieszkę krwi mongolskiej po twarzach kończastych i nosach płaskich.

Droga wiodła dalej w górę, to w dół, stając się coraz bardziej kamienistą. Teren coraz więcej się podnosił — wiatr ostrzejszy powiewał. Dolina Ingody w coraz większą, czarniejszą zapadała głębię — raz po raz więcej kopców do koła niej przybywało, i czarne masy lasów rosnąc rozszerzały się wraz bardziej, tak, że w dali nigdzie końca ich nie zobaczył. Ciemna masa łączyła się tam z sinością wraz nieba. Coś stamtąd wiało strasznie pustynnego, kobieta obracając na nie oczy, wnet je odwracała na starca, jakby szukając odwagi u tego, który na tę pustosz niepokojącą ją ze zupełnym patrzał spokojem, gwarząc tylko o swojem.

Niebawem przeszli koło drugiej osady, której mieszkańców, osiedleńców moskiewskich, rząd przemienił w kozaki, potem ciągnęli koło innej, mniejszej, o chatach niższych, niedbale kleconych, bo tu, jak mówił stary, mieszkali znów Burjaci przemienieni w kozaki. Kobieta była zmęczona drogą i nowością wrażeń, tak, że dalej iść byłoby za wiele. Poznał to stary, i oglądał się, gdzieby tu wstąpić do jakiej chaty, lecz ona się wzbraniała, mając z sobą dość posiłku, jednak tu trzeba było nie tyle posiłku, ile raczej ogrzania się po ostrym wietrze na wysokościach.

Musiała się zatem przemódz, i z niejaką trwogą weszła z przewodnikiem swoim do jednej z chat owych.

Stary Burjat, siedząc tam na posłaniu z kożuchów baranich, kurzył obojętnie lulkę, a niewiasta krzątała się koło ognia również z lulką w gębie, warząc herbatę z dodaniem jakiegoś tłuszczu, dzieci zaś, na pół nagie, brudne, na widok obcych kryły się w kąt domu. Na pozdrowienie obcych mieszkańcy chaty tej nie odpowiadali — byli nawet jak gdyby niechętni. Mimo to nie bronili żywności ciepłej, gazdyni podała nawet kawał placka i ryby suszonej. Wędrowcy nasi, zagrzawszy się koło ognia, podziękowali i odeszli.

Ale co potem robić?... Zmierzch już gęstniał — jakże o takiej porze puszczać się pod noc w dalszą drogę? Stary szukał, żeby gdzie przenocować. Nareszcie rozglądając się nadybał człowieka, od którego się dowiedział, iż tu w tej osadzie jest i kilku chłopów moskiewskich na osiedleniu, a nawet mieszka jeden z dawnych wygnańców polskich, bardzo stary, ale ma koło siebie córkę staruszkę, która dawno jeszcze przybyła pielęgnować ojca. Tam będą mogli przenocować.

Stary rad był z tego, bo tu w tej dziczy burjackiej znajdzie nawet towarzysza.

Odszukał niebawem mieszkanie to i wchodził już jakby do siebie, towarzyszka zaś jego szła z pewną nieśmiałością, jak gdyby się bała, czy ją tu przyjmą, kobietę innego wyznania... Ale tu na tej ziemi, gdzie żyją buddyści i szamani, katolicy i starowiercy, względy religijne nie wielką grają rolę u ludzi, mimo, że prawosławie jest tutaj panującem. Ludność wykonując formy dość jest zresztą na inne obojętną. Wygnańcy zaś polscy, choć więcej od innych religijni, nie uchylają się, kiedy przyjdzie pomódz nieszczęśliwemu.

Weszli przeto podróżni nasi do środka.

Nie młoda już niewiasta, która pierwsza obcych spostrzegła, usłyszawszy polskie słowa, z całą serdecznością przyjęła wchodzących; bardzo była nawet rada, że staremu ojcu choć na chwilę przyprowadzi towarzysza broni. Ojciec jej już od dawna niedomaga, pochodząc z czasów jeszcze Kościuszkowskich zupełnie dziś zdziecinniał, a czasy minione i teraźniejsze ciągle nawet z sobą miesza. Lecz wędrowiec nasz rad był, że zdybał towarzysza broni, choć starszego od siebie i całkiem dziś niedomagającego; wszedł mimo to w gawędkę, lubując się tem, że słyszy głos żołnierza, który pochodzi z dawniejszych jeszcze, niżeli on, czasów. Córka znów jego prawie dziś staruszka, gdy się od Sary dowiedziała, za czem ona dziś idzie nieszczęśliwa, miała serdeczne dla biednej matki współczucie. Nie mogła tylko pojąć, że mogą się nawet podobne dziać rzeczy na świecie, aby rodzicom dzieci ich zabierano. Niemało i ona zaznała ze swoim biednym ojcem, ale jej ojciec był niegdyś żołnierzem i wpadł w ręce nielitościwego wroga, jak tylu innych rodaków, lecz żeby car miał brać się do dzieci, które o nim i jego rządzie nawet jeszcze nie wiedziały, to już było po nad pojęcie ludzkie. Jednak tak było.

Kiedy po niejakim czasie wędrowiec nasz spostrzegł, że gawędki jego słuchając gospodarz domu chwilami zasypia, a nareszcie i na dobre zasnął, poznał, że i jemu samemu czasby już był do spoczynku, zwłaszcza, że ciężką drogą znużona towarzyszka spała już od chwili na posłaniu, które jej gościnna przygotowała gospodyni.

Nazajutrz zaś wstawszy, pogawędziwszy nieco i posiliwszy się tem, czem ugościła ich z całą ser-

decznością skrzętna gospodyni, musieli się zabierać w dalszą drogę.

Ranek był chłodny, mgła przed nimi stała tak gęsta, że ledwo najbliższe można było rozpoznać przedmioty. Chaty, koło których iść musieli, dopiero się wtedy we mgle zarysowywały, kiedy już całkiem blizko koło nich przechodzili.

Nareszcie wyszli na główną drogę — a choć ni w prawo, ni w lewo, nic nie widzieli, drogą jednak, choć złą, kamienistą, dążąc, kierunku nie zmylą.

Po paru godzinach mgły zaczęły opadać, tu i owdzie wychylały się grupy skarłowaciałych modrzewi lub niskiej brzeziny. Niebawem rozsuwały się już całe partje dzikiego krajobrazu, aż nareszcie mgły całkiem opadły.

Droga teraz bardziej się podniosła, masy szerokie kopców rozciągały się coraz liczniejsze... Świat był coraz szerszy, ogromniejszy, ale i pustynność miejsc tych stawała się coraz groźniejszą... Wiatr tylko jeden dawał znać o sobie. Nigdzie ruchu żyjących istost słychać nie dało się. Kobieta była prawie przerażona.

Po niejakim czasie w takiej pustoszy zasłyszeli z dala dzwonek. Ona się wzdrygnęła, lecz stary jej wytłumaczył, że to pewnie kurjer pędzi z depeszą, rozbijając wózek po kamieniach.

— A czy on nas nie zaczepi? — zapytała się z obawą kobieta.

— Ano po co?... To przecie kurjer.

Po chwili ucichł dzwonek, gdyż był teraz za górą — i chwilę go nie słyszano. Niebawem znów się odezwał, a po niejakim czasie dochodził już uszu ich turkot jego głośniejszy. Oboje ciągnęli w milczeniu. Nareszcie koło nich przejechał wózek kurjerski tłukąc się po kamieniach, a odgłos jego rozchodził się sam jeden w tej ogromnej pustoszy. Kobieta po chwili rada była, że już po za nimi tylko dalej pędził.

Wiatr teraz wiał coraz gwałtowniejszy. — Stary wiedział, że już są na samej wierzchowinie gór Jabłońskich.

Uchodzili przeto prędko.

Po kilku godzinach natężonego chodu zaczęła się już droga zniżać ku przeciwnej stronie — na zachód. Nareszcie pokazywały się już małe jeziorka, w wysoko położonych kotlinach — źródłowiska potoków zasilających rzeki dalszych okolic. Dokoła jezior tych panowała również pełna grozy jeno pustynność, okalały je usypiska, i staczał się gruz — trawa zaś rosła tu i owdzie kupkami, ostra, jakby szczecina.

Pokazała się stacja pocztowa, dla przyjezdnych kurjerów lub carskich czynowników... oni ją mijali. Gdzieniegdzie znów zdala szarzało coś niby ułus burjacki, po jednej lub drugiej stronie, lecz to wcale nie odejmowało cechy pustynności całej tej okolicy. Chwilami ptak zakrzyczał — to śmignął zwierz jaki uciekając, zresztą nic nie było słychać.

Po niejakim czasie spostrzegł stary, że jakiś szereg dłuższy majaczy — szarawy jeszcze — potem zapadł za skręty drogi. Poznał, iż to będzie przechodzić partja żołnierzy, albo może szereg wozów kupieckich. Lecz gdy się zbliżyli, widział, że to ciągnie szereg zakutych aresztantów w otoczeniu kozaków. Ha! znowu przybyli nowi mieszkańcy dla tej ziemi?

Kiedy szereg ten koło nich przechodził, zatrzymał wędrowców naszych konwojujący oficer, zapytawszy ich o legitymację, lecz stary nosił ją zawsze przy sobie. Oficer podany mu papier czytał rozglądając się po obojgu, a poznawszy, że żadnej od nich „bumaszki“ nie dostanie, puścił ich spokojnie

Przechodzili teraz koło zakutych w szarem ubraniu. Byli to przeznaczeni do katorgi, na których twarzy malowało się zwątpienie, lub ponura obojętność. Znajdowały się tam i niewiasty, przed czasem zwiędłe, i młodzież zawcześnie zestarzała w zbrodniach. Sara na widok skazańców wstrzęsła się. Ona w tej chwili nieszczęśliwego widziała męża swego w więzieniu nerczyńskiem. Zapadła też w myślach, i nic tu dalej nie widziała.

Dwa lata śledztwa — pomyślała sobie — dwa lata nowe w więzieniu! I jeszcze długi cały rok... a może więcej?... A co potem, gdy wyjdzie?... Potem?... Potem oddadzą go pod dozór policji... On nie będzie wolnym u siebie... Każdy zasidatiel, każdy sługa nawet kancelarji będzie zaglądał do niego?...

I spuściła wzrok posępny ku ziemi.

Orszak tymczasem pobrzękując żelazem przeszedł, jak sen z potępieńcami. Nawet i stary postępywał teraz milczący.

VIII.

Po kilku dniach dalszych pochodu, w którym różnie się im przytrafiało, skończyły się góry i roztoczył przed ich oczyma szeroki i daleki „step burjacki“ na prawo, falisty, pogarbiony, daleko się rozciągający. Zdala widać było pasące się samopas stada owiec i bydła drobnego — miejscami rozbiegały się na różne strony dzikie tabuny koni burjackich. Koło drogi tu i owdzie pokazywały się wsie porządniejsze moskiewskie — zdala zaś majaczyły ułusy burjackie.

Czasem znów można było spostrzedz zmykające na dalekich błoniach dropie.

Gdy się dalej posuwali — zabłyszczała kiedy niekiedy kopuła cerkwi z krzyżem błyszczącym, to znów pojawiło się więzienie etapowe, otoczone ostrokołem. Prócz cerkwi, więzienia albo koszar dla wojska. żadnego nigdzie nie zdybywano gmachu, coby dominował nad szeregiem pomniejszych domostw ludzkich.

Traktem głównym ciągnęły czasami szeregi wozów kupieckich, to szłapał się Burjat na koniu obojętnie poglądający na naszych wędrowców, albo też pędziła bryczka pocztowa z carskim urzędnikiem. Miejscami znów przechodziły partje rekrutów, pod konwojem kozaków, albo nawet ciągnął szereg skazańców parami przykutych do drąga To ruch, znamionujący życie, w bardziej zaludnionej części ziemi sybirskiej.

W pochodzie tym długim, męczącym, w którym różne im obojgu wypadały noclegi, w domu moskiewskiego chłopa, to jurcie dymnej Burjata, zaszli raz nawet do domu, w którym dość liczna mieszkała rodzina moskiewska. Gospodyni, żywa, gwarliwa, przyjęła ich gościnnie, jak czynią moskiewki, podawszy. co było w domu, a dom był dostatni, zagospodarowany, i pełen gwaru wesołej dziatwy. Tylko pan domu jeden nie brał jakoś w tym gwarze żywszego udziału. Siedział jeno milczący, posępny, i przyjął obcych kilku słowy, zostawiwszy resztę gwarliwej połowicy.

Po niejakim czasie usłyszawszy słów parę, które stary nasz wyrzekł do swojej towarzyszki, poruszył się żywiej gospodarz, a bystrzej na obcych spojrzawszy, odezwał się:

— To wyście polaki, jak słyszę?...

— A nie inaczej!... Ale... jak teraz baczę... to i wyście moim językiem zagadali?

— Ta czy bo już miałem go na zawsze zapomnieć, wśród tej czeredy mojej dzisiejszej — mruknął niechętny wskazując ręką na dziatwę zajętą swojemi sprawami.

— To wyście rodak, jak widzę? — rzekł stary.

— A tak! — odmruknął gospodarz westchnąwszy. A no dziś, jak widzicie, karmię-ci moskiewskie te basałyki...

— To wasze dzieci, jak widzę — zapytał stary — nie znają ojczystego języka?...

— A skąd miały się go nauczyć? — odmruknął gospodarz — od matki moskiewki?...

— Ale wyście ojcem? — dodał stary.

— A! tak, ojcem... Ale dzieci poszły za matką W domu baba rządzi, nie chłop. A z kim bo one miałyby mówić naszym językiem? Z sąsiady swoimi? Czy nie może z Burjatem? Czasami i mnie się już zdaje, żem i ja urodził się moskalem... Chyba jeśli człowiek, kiedy niekiedy usłyszy jakie polskie słowo od którego z naszych stron wychodźcy, no, to przypomni sobie, że nie zawsze siał i uprawiał rolę dla gęby moskiewskiej.

— Jednak wy, o ile się domyślam, będziecie... z powstania listopadowego?... Przecież nie od tak dawna jesteście tu. jak ja?...

— Co z tego! — dodał gospodarz — Ale wy nie macie żony, któraby wam wychowała dzieci moskiewskie? A ja? Ot! człowiek był głupi! Myślał sobie, że gdy się ożeni, będzie miał rodzinę swoją, tak samo, jak inni na świecie. A tu sam prawie już został „russkim“... Et! co o tem gadać!... Było, tać przeszło! A teraz żyj tu na sybirskiej ziemi, pracuj, i kłóć się o to, czego już nie będzie.

I obaj sposępnieli. Stary poznał, iż ma przed sobą człowieka, co niegdyś walczył za Ojczyznę — a zagnany w Sybir przez wroga, wycierpiał najpierw katusze katorgi, następnie na „posieleniu“ ożeniwszy się z kobietą innej rasy, myślał, że zostanie ojcem polskiej rodziny — a tymczasem przyczynił się do powiększenia ludności, wrogiej swemu narodowi.

Mimo, że gospodyni gościnna zajęta koło kuchni starała się, by niczego gościom dla wygody nie zabrakło, nie mógł jakoś stary wrócić do zwykłej pogody umysłu. Posiliwszy się nieco, odszedł na spoczynek. Rano zaś gawędziliby jeszcze dłużej, ale Sara spieszyła, musieli więc pożegnać właściciela. Żegnając się z nim był stary markotny — gospodarz zaś ściskając go za rękę nic nie mówił, ale był jakoś bardzo smutny, na żonę i dzieci pozierając jeno z goryczą

Wędrowcy ruszyli w dalszą drogę.

Wiele jeszcze dni przeszło, zanim droga ich zaczęła się podnosić na nowe wzgórza i nowe wysoczyzny. Pokazał się znowu świat górski, nie taki jednostajny, ale za to bardziej męczący. Lecz matka słyszała, iż za temi górami będzie właśnie to miasto, w którem mają już szukać syna. To przyspieszało jej kroki. Już i przedtem każdy zawsze wypoczynek stawał się dla niej przydługim. Ciągle się jeno pytała, żali jeszcze daleko ów Werchnoudyńsk, w którym będzie jej dziecko. Ach! gdyby Bóg dał, żeby on już był w tem mieście! Ona już się nawet widziała z nim w myślach, pieściła jego obrazem. Ach! co to będzie za chwila, kiedy ją ujrzy niespodziewając się, i rzuci się w objęcia matki! Ona drżała z rozkoszy na tę myśl. Spieszyła przeto z

gwałtownością starego, zapewniając, że ma dziś dość siły do szybszego pochodu.

Dość jednak jeszcze czasu upłynęło, zanim się przed ich oczyma roztoczyła okolica bardziej malownicza — i świat zaczął się wydawać jakiś inny, świeższy.

Wszystko wskazywało, że się zbliżają wśród świata górskiego do jakiejś wielkiej w dolinie rzeki, do której wszystkie zdybywane po drodze zdają się spieszyć potoki. To ją jeno trwożyło, jak oni wodę tę wielką przebędą, lecz stary ją pocieszył, bo o ile on zapamięta, Werchnoudyńsk po tej właśnie stronie będzie rzeki. To ją uspakajało.

Zdala widać teraz było głębię między górami z jednej i drugiej strony — zieloność stawała się coraz bujniejsza, drzewa coraz wyższe i rozkoszniejsze, ale miasta tego jeszcze nie widać. Nareszcie za jednym z zakrętów w dali coś zabłyszczało. To Selenga, zabierająca wszystkie w tych stronach wody — a nad nią będzie właśnie to miasto!

Kobieta teraz goniła starego, jak mogła. Ledwo się dźwigała, mimo to siliła się z gwałtownością do pospiechu. Stary musiał uważać, ażeby towarzyszka była w stanie dowlec się do miasta, dlatego zatrzymywał się chwilami, udając, że zdążyć nie może, bo bardziej od niej słabnie. Ona wtedy była zatrwożona, chciałaby mu pomódz, sama siły nie mając.

Niebawem na drodze ruch pokazywał się nieco większy. Częściej już zdybywano człowieka z pobliskich siół dążącego do miasta. Każdego próbowała kobieta pytać się, czy jeszcze daleko do miasta, i czy tam są koszary, w których syn jej będzie. Że są tam koszary, a nawet i twierdza, wojsko regularne, jak i kozaki, to pewna — odpowiadano jej, ale czy tam będzie syn jej — tego nie można wiedzieć.

Nareszcie zaczęły się pokazywać małe domki, kryte dranicami, a koło nich ogrody zasadzone marchwią, burakiem, tu i owdzie ziemniakami. Kobieta rada, że już są u celu, dźwigała się, jak mogła, i ciągnęła z gwałtownym pospiechem, tak, że stary ledwo za nią mógł zdążyć. Ale to domostwa ciągnęły się na jej utrapienie — za wielkie je jak dla niej przedzielały łąk i ogrodów przestrzenie. Nakoniec większy nastał ruch. Kroczyli już żołnierze, kupcy, maszerowały całe oddziały, przechodził tu i owdzie czynownik, sztywny, butny, lub oficer, którego wyprężeni nakształt struny salutowali szeregowce — i pokazały się większe budowle, w których były sklepy, mieszkali czynownicy — nad wszystkimi zaś gmachy dominowała cerkiew i twierdza z koszarami a więzieniem.

Na jej widok mocniej zabiło w piersiach u matki. Tam będzie on, za którym tyle dni płakała! On teraz w tym gmachu — zamknięty przed oczyma rodziców! Tam go dręczą i każą obchodzić się bez matki i ojca. Ale on ją teraz zobaczy... i pozna, że go nie opuścili kochający rodzice. Co to będzie za chwila, gdy się rzuci w objęcia matki!

IX.

Atoli przedtem należy wyszukać jeszcze sposób, ażeby się módz tam dostać.

Stary, bardziej od matki przytomny, i rozbierając w myślach, jakby się tamże dostać, próbował wpierw się dowiedzieć, czyli są tam ninie dzieci jakie w szkole wojskowej..

Nagabnięty zatem pierwszy przechodzień, mieszczanin jakiś, popatrzył się na obojga zdziwiony nieco, i tylko odmruknął:

— A kto to wiedzieć może? Tam przecie nikt z nas nie chodzi? To ostróg.

— Wiem-ci, że ostróg — odrzekł stary — lecz są nie tylko działa i żołnierze, lecz znajdą się i warsztaty, tać i różni rzemieślnicy... będzie bo i szkoła na przyszłych żołnierzy carskich. Biorą przecież dzieci Burjatów a tunguskie?

— Ano, może — odmruknął przechodzień. — Ale ja tam nigdy nie byłem.

I poszedł, jakby niechętny, że go tem zaczepiono.

Stary zauważał, iż kupiec jaki prędzej oświeciłby go, gdy nieraz w stosunki wchodzić musi z oficerami, a choćby z podoficerem jakim... Zdybawszy przeto wkrótce człowieka, który wyglądał na kupca, zagadnął go o ostróg i koszary, lecz ten popatrzył tylko na nich obojga, i nic nie mówiąc poszedł dalej, niechętny, że go tem zaczepiono.

Stary poznał, że tu nie łatwo przyjdzie dowiedzieć się, do tego nie dobrze trafił na pierwszego, kobieta zaś była w dręczącem ją tylko oczekiwaniu.

Wchodzili potem do kilku sklepów, gdzie się dowiedzieć mogli, iż ostróg ten to nie mała twierdza i dużo tam być ma żołnierza; są tam również więzienia i kazamaty, a nawet pełno aresztantów różnych stopni... Będą nawet szkoły wojskowe, gdyż nieraz i nie dwa wiedziono tam dzieci nieletnie.

Na te słowa o szkołach i dzieciach mocniej zabiło serce u matki. Ona chciałaby się czemprędzej dowiedzieć, czy i syn jej pomiędzy innymi tamże będzie? Lecz stary jej wytłumaczył, że to nie tak prędko da się wywiedzieć: należy tylko postępować uważniej.

Gdy tak się oglądano za takim, któryby więcej coś powiedział, nadybali jednego z podoficerów.

Stary wnet go pozdrowił i wszedł zwolna w rozmowę — a słowo po słowie zaprosił go do kanaku. Podoficer chętnie poszedł — a widząc przy sobie człowieka, który go zdaje się potrzebował, rozkazał sam nawet podać szynkarzowi flaszę z wódką, a mocniejszą.

Wziąwszy ją do rąk, zawołał da starego: — Na *zdorow wasz*, *kamrad!*

I zaczął łykać wielce spragniony. Zmniejszywszy zawartość flaszy, podał staremu, lecz ten nieco spróbowawszy na bok odłożył.

— A to jak? — rzekł wojak carski — Wy byli także wojak. chocia nie „sprawiedliwy“ carski, ale zawżdy wojak... Ta jak to? Albo to wasze Laszki wódki nie piją, ino może mleko? Hm?...

— Ano pewnie, że piją — odpowiedział stary.— Ale dzisia... to chciałbym poczęstować was, bo wy pierwszy człowiek, w tem mieście, z którym można zamienić słowo jakie...

— No, pewnie, pewnie... I na potwierdzenie tego wyciągnął rękę po flaszę, z której resztę wypróżnił.

Stary się odezwał: — Wy najlepiej nam powiecie, czy jest tam dziś w twierdzy tej szkoła jaka wojskowa?...

— Ano jakby nie było?... Batiuszka przecie potrzebuje sałdatów... No, ale wierzaj mi kamrad, co ja ci powiem. — Tu się bliżej podsunął, do ucha szepnąwszy: — Ta, co to one dzieciska Burjatów. taj Tatarów! Toć furda, co tam to mustrować!... Ot, będzie chyba tylko futraż na harmaty!... Człowiek bo nie był w żadnej szkole, a zna komendę, jak się patrzy, i drugich uczy...

Teraz odezwała się kobieta już niespokojna:

— Ach! proszę was, panie wojaku, powiedzcie nam, czy tam są tylko dzieci Burjatów i Tatarów... a innych nie ma?...

— Ta jakby i inne być nie miały? — odrzekł spojrzawszy na nią żołnierz carski. — Alboż to, car nasz batiuszka będzie-ci składał armie z samych Burjatów, ano może z plugastwa tatarskiego? A inne, to bo na co się rodzi? My bierzemy, co nam potrzeba — dodał pewny o swojej godności. — Nam tak już dał sam car. A czy ty, kobieto moja, masz może jedno, tać choćby dwoje, którebyś nam oddać chciała? He! he! Ale ty mnie nie oszukasz — dodał śmiejąc się łaskawie. — Ty nam nie chcesz dać.. Ale... bo... panie *szynkar* - wtrącił oglądając się za przynoszącym drugą flaszę. — Tak... to lubię... bo ja nie mogę gadać, gdy sucho w gardle. — I wypiwszy połowę podanej flaszy mówił dalej do kobiety: — Ho! ho!... Ja-ci rozumiem... Ona ma tu już swojego, któregoby chciała zobaczyć? No, nie odgadł-ci ja... Ho! ho! mnie nie oszuka!...

— Ach! dobry panie wojak! — zawołała kobieta. — Ja wiem że wy nam pomożecie... Wy nas do niego zawiedziecie, bo co ja? — Biedna kobieta — a ten stary, to dobrodziej mój najlepszy, co się ulitował nad matką nieszczęśliwą...

I zaczęła rozwodzić się ze łzami.

— No, no, poczekaj newistko... może to się i uda — rzekł żołnierz carski. — Ale wy... nie będziecie przecie z Burjatów, no, ani z Tatarów... Ano i pewnie, że nie „russka?“...

— A czy są tam, człecze dobry... dzieci tutejszych żydów? — rzekła wyczekując z obawą odpowiedzi.

— A czemuby i żydów być tam nie miało?... Żydowskie, to one wszystkie do cara należą... No, to każe wszystkie zabierać... A! tak... Czemuby nie miał kazać, gdy mu się tak spodoba?... Toż dzieci wasze do nas należą... Ano car będzie miał i z tego sałdata dla armii...

(C. d. n.).

HUFIEC UMARŁYCH.

PRZEZ

RUDYARDA KIPLINGA.

(Dokończenie)

Oddział ruszył i posunął się jeszcze kilka kroków, gdy nagle ktoś zaklął głośno. Snop niebieskich iskier sypnął się z pod kopyt jednego z koni, który potknął się o kamienie,

a jego jeździec runął na ziemię z piekielnym brzękiem i hałasem całego rynsztunku, złożonego z karabinu, szabli i miski blaszanej

— No — odezwał się oficer Halley — to się nam udało. Pobudziliśmy wszystkich i będziemy ich mieli zaraz na karku.

Niezręczny jeździec dosiadł znów konia i zaczął się tłomaczyć, przytaczając na swe usprawiedliwienie, że katastrofę spowodował jeden z małych pagórków kamienistych, sypanych zgodnie ze zwyczajem w miejscach, w których kogoś zabito. Nie zdołał jeszcze dokończyć, gdy z kolei potknęła się wielka klacz australska dowódzcy. Oddział ujrzał się teraz jakby na cmentarzu usianym gęsto mogiłami, z których każda nie miała więcej nad dwie stopy wysokości. Konie wpadały na nie ustawicznie, ludzie klęli głośno i kręcili się czas jakiś bezradnie w miejscu, potrącając się wzajemnie wśród labiryntu grobów. W końcu jednak złamano linię szeregów i gdy każdy zaczął osobno szukać drogi, oddział wydobył się nareszcie z matni i zaczął się formować akurat w chwili, gdy dochodził już do szczytu wzgórza. Wówczas powtórzyła się za plecami Halleya scena podobna jota w jotę do sceny raz już opisanej. Dowódzcy i Carterowi zdawało się znów, że widocznie nie wszyscy żołnierze stanęli w szeregach, że większa część została z tyłu i że konie ich ślizgają się, potykają i padają wśród kamieni strasznego owego cmentarzyska. I rzeczywiście noc była pełna jakichś głuchych odgłosów i wrzawy. Halley zebrał osobiście wszystkich swych żołnierzy i postanowił czekać. Później opowiadał mi tak swe wrażenia:

— Gubiłem się w domysłach, nie rozumiałem zgoła, co się w około mnie dzieje. Żołnierze nasi przedzierając się wśród grobów, spadając z koni i podnosząc się z ziemi, narobili tyle zgiełku, że połowa kraju mogłaby ich usłyszeć, a na domiar gotów byłem przysiądz, że za nami pędzi jakiś wielki pułk z takim hałasem i hukiem, że cały Afganistan powinien był zerwać się na nogi. Byłem najmocniej przekonany, że lada chwila uderzy ktoś na nas, a tymczasem obawa okazała się płonną. — Najbardziej jednak zagadkową rzeczą była niezakłócona niczem cisza na wzgórzu. Wiedziano powszechnie, że Goulla Kutta Moullah rozstawia tam swe warty, to też dowódzca oddziału był pewny, że straże przywitają ich lada chwila ogniem. Gdy jednak nic nie przerwało ciszy, zaczęto przypuszczać, że ulewa stłumiła tentent koni i dziękowano za to Opatrzności. Dowódzca stwierdził w końcu osobiście i pozytywnie, że nikogo ze swych ludzi nie zostawił między grobami, i przekonał się, że znaczny korpus jazdy, postępujący z tyłu nie myśli o ataku. W szeregach wszakże widać było upadek ducha, konie były pokryte pianą i niespokojne, wszyscy wyglądali brzasku dziennego.

Oddział musiał teraz piąć się mozolnie w górę, jeźdźcy zsiedli przeto z koni i zaczęli prowadzić je za sobą.

Tymczasem zerwała się burza i ogłuszający huk pioruna wstrząsnął powietrzem. Błyskawica rozdarła czarną oponę i ukazała obnażone stoki i siny szczyt pagórka smagany deszczem, a opodal o kilka metrów na lewo dwupiętrową wieżyczkę strażnicy afgańskiej, do której wchodziło się po drabinie, łączącej górne piętro z ziemią. Drabina była wciągnięta, a w oknie stał człowiek oparty na strzelbie. Wśród ciemności i wśród grzmotu, jaki rozległ się po oślepiającej błyskawicy, z wieży tej wyszedł głos i zawołał:

— Kto idzie?

Oddział angielski milczał, każdy jednak ujął karabin i zakrył się swym koniem. Głos powtórzył pytanie:

— Kto idzie?

— Och, bracia! na trwogę, na trwogę!

Wszyscy żołnierze oddziału, wszyscy ci starzy, wytrawni i nieustraszeni jeźdźcy indyjscy pozwoliliby się raczej posiekać w kawałki, niż błagać nieprzyjaciela o łaskę. A przecież faktem jest, że w chwili tej członki ich zmroził dreszcz strachu, płynący z nocnych mroków od owego tajemniczego i niewidzialnego wojska, które zdawało się kroczyć trop w trop za nimi. W powietrzu rozległy się jęki: „Marf Karo! Marf Karo!“ co znaczy „Litości litości!“ Okropne te rozdzierające jęki błagalne wychodziły gdzieś z ciemności, a starzy żołnierze wspinający się teraz na górę powtarzali je mimowoli. Po okrzyku takim spoglądali na siebie zawstydzeni i rzucali sobie pytania: „Mir Khan, czy to twój głos? Abdullahu, czy to ty krzyczałeś?“ Oficer Halley ukryty za koniem, czekał cierpliwie. Żaden strzał nie padł dotąd, czuł się on więc zadowolonym. Druga błyskawica oświetliła jaskrawo konie robiące bokami i chwiejące się łby, dalej ludzi oglądających się za siebie oczami pełnemi przerażenia, oraz na

lewo wieżę strażniczą. Nikogo już jednak nie było w oknie, zamkniętem ciężką nabijaną żelazem zasuwą.

— Dalej, chłopcy — odezwał się dowódca — musimy koniecznie dostać się na górę.

Z trudem zaczęto się drapać; żołnierze ciągli konie za cugle, a z pod kopyt odrywały się i spadały kamienie. Oficer Halley mówił, że nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się słyszeć równie hałaśliwego pochodu. Oddział stąpał tak głośno — jakby każdy koń miał po ośm nóg i w dodatku drugiego za sobą konia. Mimo to strażnica nie dawała znaku życia, to też żołnierze dotarli wreszcie znużeni na szczyt góry, u stóp której leżała wieś Bersund. Jeźdźcy rozluźnili popręgi i wędzidła, poprawili siodła i położyli się wśród kamieni. Nawet ataku nie obawiali się teraz, skoro zajęli lepszą pozycję

Grzmoty i deszcz ustały równocześnie i wszystkie przedmioty pokryła gruba zasłona nocy. W ciszy słychać było tylko dochodzący z dołu szum potoków. Na wieży zaskrzypiała znów zasuwa okienna i głos strażnika afgańskiego zawołał:

— Hafizie Oullahu! Hafizie Oullahu!

Echo powtórzyło trzykrotnie dźwięki „la, la, la“, a z drugiej wieży ukrytej w jakimś wgłębieniu pagórka, zabrzmiała odpowiedź:

— Co się stało, Shahbaz Khanie?

Na to odezwał się znów gruby głos pierwszego:

— Widziałeś?

Tamten odparł:

— Tak! Niech nas Bóg broni od złych duchów.

Milczał chwilę i podjął znowu:

— Hafizie Oullahu, ja tu sam jestem! bywaj tu, bywaj!

— Shahbaz Khanie, ja także sam jestem, ale jakże zejdę z warty?

— Kłamiesz — rzekł Shahbaz — boisz się.

Tu nastąpiła dłuższa pauza, poczem Hafiz odparł:

— Tak, boję się. Milcz! są jeszcze za nami. Módl się i próbuj zasnąć.

Żołnierze słuchali zdziwieni tej rozmowy, nie pojmowali bowiem, co może znajdować się za strażami, okrom ziemi i kamieni.

Shahbaz Khan zaczął znów wołać:

— Są za mną, widzę ich! Na Boga, przyjdź do mnie Hafiz Oullahu! Z ręki ojca mojego zginęło dziesięciu... Przybywaj!

Hafiz Oullah odpowiedział głosem bardzo donośnym:

— Mój ojciec jest bez grzechu. Słuchajcie mnie, duchy nocne! ani ojciec, ani nikt z moich krewnych nie należał do tej zbrodni. Cała kara niechaj spada na ciebie tylko Shahbaz Khanie!

— Kiedyż nareszcie ucichną te puszczyki! — rzekł oficer Halley głosem drżącym od zimna.

W chwili gdy obracał się, aby wystawić na deszcz drugi bok swej osoby, na wzgórze wbiegł nagle wielki, brodaty, cuchnący afgańczyk i w ciemnościach wpadł prosto na Halleya. Oficer przycisnął go kolanem i o ile to się dało wepchnął mu w usta rękojeść szpady.

— Zabiję cię, jeżeli mi krzykniesz — rzekł jowialnie.

Groźba ta była zbyteczna, schwytany bowiem z przerażenia stracił na razie przytomność; sapał tylko i drżał całem ciałem jak listek. Gdy Halley wyciągnął mu z zębów swą szpadę, uczepił się ramienia oficera i dotykając jego piersi i rąk wyjąkał zaledwie te słowa:

— Pułk! Pułk umarłych! jest tutaj? jest tutaj?

— Ależ nie, chyba pułk żywych; ten istotnie jest tutaj — rzekł Halley biorąc rzemień, by związać nim ręce jeńca. — Ależ z was kapitalne głupcy — dodał — żeście pozwolili nam przejść spokojnie!

— W dolinie pełno umarłych — odpowiedział afgańczyk — lepiej już wpaść w ręce anglików aniżeli w ręce upiorów. Są wszędzie, snują się to tu, to tam! Widziałem ich, gdy się błysnęło.

Odzyskał wkrótce zmysły i czując przy piersiach rewolwer Halleya rzekł ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Co ja uczyniłem! Moullah zabije mnie za to, żem was nie widział!

— Uspokój się - rzekł Halley — przyszliśmy tu po Moullaha, gdyż za długie już wyrosły mu zęby. Tobie nic nie będzie, o ile przy dniu nie okażesz się jednym z tych, których ściga władza. Ale coś to mówił o pułku umarłych?

— W Indjach nie spełniłem nigdy zbrodni, zabijam tylko w naszym kraju — rzekł jeniec z takim akcentem, jakby mu kamień spadł z piersi. — Pytasz o pułk umarłych? Jest tutaj, tuż pod nami... ludzie twoi przechodzili obok niego... czterystu jeźdźców błądzi około własnych grobów... umarli przez nas zabici...

— A, oto rozwiązanie zagadki! — rzekł Halley. — To dlatego ja robiłem wymówki Carterowi, a dowódzca miał ciągle do mnie pretensje. Czterystu ludzi! Jakże nie miało się nam zdawać, że oddział nasz powiększył się nagle!

— Kourrouk Shahu — zapytał po chwili starego podoficera leżącego opodal o kilka kroków — słyszałeś kiedy o tym hufcu umarłych?

— Tak jest — rzekł Kourrouk Shahu. — Gdyby nie to, czyżbym był krzyknął wtedy, mimo że w błyskawicy straż mogła nas zobaczyć? Czyżbym uczynił to ja, który służę już królowej lat dwadzieścia, ja, który zabiłem tylu tych psów góralskich? Widziałem ja w młodości, jak się odbywała rzeź w dolinie Sheor Kot, i wiem, co odtąd o tem mówiono... Sahibie, ściągnij temu psu mocniej ręce, bo afgańczyk umie wyśliznąć się jak węgorz.

— Ależ twój hufiec umarłych — podjął Halley zaciągając silniej rzemienie na rękach jeńca — to jest dzieciństwo, Kourrouk Shahu! kto raz umarł, ten już nie żyje.

— Tak, umarli są umarłymi — odparł zimno Kourrouk — i dlatego też snują się w nocnej porze. Po co zresztą mamy się spierać? Jesteśmy obaj ludźmi, obaj mamy oczy i uszy. Patrz tam i słuchaj!

Halley wytężył wzrok i słuchał długo i uważnie. Z doliny, jak zawsze w górach, dochodziły różne niepewne szmery, gwary i odgłosy, ale czy oko jego i ucho pochwyciło w tem wszystkiem coś nie dającego się wytłómaczyć, coś nadprzyrodzonego, to już pozostało jego tajemnicą, z której nie zwierzył się nikomu. Nie lubił w ogóle, gdy go w tym przedmiocie badano.

Nareszcie zaczęło świtać. Zdala przed szwadronem z głębi przesmyku wiodącego do Bersundu, ukazała się zielona raca, jako umówiony znak, że gourkasowie zajęli swe stanowisko. Odpowiedziały jej natychmiast dwie inne czerwone race ze wzgórza prawego i lewego. Afgańczycy w porze deszczów wstają późno, to też słońce podniosło się już dość wysoko, gdy zaczęli wychodzić z lepianek i przecierać sobie zdziwione oczy na widok ludzi w mundurach zielonych, czerwonych i brunatnych, opartych na karabinach i zamykających wieś tak zwartym pierścieniem, że wilkowi nie udałoby się wydobyć na zewnątrz. Zdumienie ich wzrosło jeszcze, gdy młody, rumiany jegomość nie noszący nawet munduru, lecz reprezentujący władzę cywilną, zeszedł powoli na dół z dwoma szeregowcami i zapukał do drzwi Goulli Kutty Moullaha z uprzejmą prośbą, aby gospodarz raczył wyjść z mieszkania i pozwolił się związać wobec czekającej go maleńkiej podróży.

Ten sam młodzik obszedł w dalszym ciągu inne lepianki i znalazł wszystkich trzynastu bandytów; lekkiem dotknięciem laski wskazywał po kolei każdego, a towarzyszący mu żołnierze krępowali natychmiast dane indywiduum. Przestępcy nie stawiali oporu, lecz spoglądali tylko z rozpaczą na wzgórza rojące się wokoło od żołnierzy angielskich, którzy obojętnem okiem przypatrywali się tej scenie. Tylko Moullah próbował użyć tonu wyniosłego, ale jeden z żołnierzy wiążących mu ręce poskromił go słowami:

— Zamkniesz ty łgarzu twą paszczękę. Całą noc tłuc się z jego łaski po wertepach! nie mogłeś to stary głupcze oddać się zaraz w ręce nasze? Milcz! nie przyjąłbym cię bałwanie do wynoszenia mierzwy ze stajni.

W pół godziny potem wojska opuściły Bersund, uprowadzając ze sobą wielkiego herszta i trzynastu jego druhów. Pozostali mieszkańcy spoglądali ze smutkiem na stos połamanych strzelb i pałaszy i wyrzekali głośno, że byli tak nierozsądni, iż nie obliczyli ściślej cierpliwości rządu indyjskiego.

Maleńka wyprawa udała się więc wybornie, to też jej uczestnikom dostały się urzędowe powinszowania. Nikt jednak nie wspomniał o drugim pułku, jakkolwiek niezaprzeczenie i on oddał pewne zasługi, nazwa jego nie ukazała się w raporcie dziennym i niedługo pewnie zginie w morzu niepamięci.

I nikt nie będzie wiedział, że pewnej nocy ten hufiec umarłych zemścił się na synach tych, którzy zgotowali mu niegdyś zagładę, że wyszedł w pole po raz ostatni i odniósł zwycięztwo.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskego w Gródku.